

Pogawędka niedzielna

A czy człowiek?

Kiedy spytałem ostatniej nocy pana Walerego Kłebuszkę — mego kawiarnianego przyjaciela, a zarazem postać zupełnie fikcyjną — pociągnął się do kawy, nie mógł mi narazie odpowiedzieć. Był najwyraźniej zakłopotany: skubał swe czarne wąsy, wydymał usta, jak nadgryzione dziecko, a czoło porały mu głębokie zmarszczki. Po pewnym jednak czasie okrążył twarz mu się wypogodziła.

— Wiem! — rzekł z uśmiechem.

— Słucham.

— Widzi pan, to zależy. Jeden bliźni, na przykład, kopie pod panem dół i chce pana wygrześć z posady. Ten egzystuje poto, żeby go unikać, albo mu żeby skąd przy sposobności... A drugi bliźni, powiedzmy, proteguje pana. Ten egzystuje poto, żeby mu go postawić wody... Albo jeszcze tak: wchodzi pan do nabitego tramwaju, a tu koło pana zjawia się takich dwóch... Jeden ciśnie pana łokciem pod żebro, a drugi operuje w kieszeni. No, to ten pierwszy egzystuje poto, żeby ten drugi mógł wykonać robotę... A ten trzeci, tj. pan, poto, żeby dać się lekko okraść...

Wydobył pana Kłebuszkę — chociaż z gruntu logiczne i przekonujące — nie odpowiadały bezpośrednio na postawione przeze mnie pytanie. Nic tedy dziwnego, że zwróciłem się do niego ze słowami:

— Dobrze pan to określił, tylko nie o co innego chodziło...

— A o co?

— O to, pociągnął w dzisiejszych czasach i w dzisiejszym ustroju egzystuje człowiek sam w sobie, nie w stosunku do innych.

— He? — Kłebuszek spojrzał na mnie stropiony, więc wyjaśniłem dokładnie:

— Co my mamy do roboty dzisiaj na świecie? My, t. j. ja, pan i inni?

Pan Walery wzruszył ramionami.

— Nie wiem! — odparł.

Chlipnął ze cztery hausty stygnącej czarnej kawy i pograżył się myślą w swej okrągłej indywidualności.

— Panie Kłebuszek! — przerwałem po chwili ciszę. — Przyszedł mi do głowy pewien projekt.

— Jaki?

— Ponieważ ani ja, ani pan nie wiemy, jaka jest nasza rola

MĘŻCZYZNOM SŁABYM

(niemocą płciową) wskazuje jak odzyskać zdolności męskie. Zgłoszenia pod „Mój system“, Kraków, ul. Lubicz 22 m. 2.

w dzisiejszej rzeczywistości, pójdziemy jutro do mądrych ludzi popytać się o to. Zgoda?

— Czemu nie? Możemy.

Nazajutrz pan Walery zjawił się u mnie starannie wygolony, w czarnym odświętnym ubraniu.

— Dokąd pójdziemy? — spytał.

— Do prezesa koncernu „Blumenthal, Kaszanka“. Firma ta posiada olbrzymie fabryki precyzyjnych przyrządów. Podobno pracują na cudowniejszych maszynach. Istny cud techniki.

— Idziemy.

Bardzo trudno było się dostać do prezesa, lecz po konferencjach z sekretarzami i woźnymi, wpuszczono nas wreszcie do wielkiej poczekalni. Pan Kłebuszek utonął niemal po uszy w skórzanym głębokim fotelu. Ja przezornie umieściłem się na kanapie. Mijała chwila za chwilą. W tem drzwi się otworzyły bezszelestnie i stanął w nich starszy siwy pan w eleganckim ciemnym garniturze. Oczy w czerwonych obwódkach, świadczących o wytężonej pracy, miały wyraz stanowczy.

— Czem mogę służyć? — spytał, leciutko skłaniając głowę. — Uprowadzam, że sprzedajemy tylko hurtownie.

— My tu w innej sprawie. Pan pozwoli, oto człowiek... — wskazałem ręką na p. Kłebuszkę.

Pan prezes lekko ściągnął brwi.

— Co? Człowiek?... Może po pracę? W fabryce nie potrzeba człowieka. Zastępujemy go maszyną. Człowiek konieczny jest nazewnątr fabryki... Po to, żeby kupował. Jedynie i wyłącznie poto!

— Przepraszam, ale jak ludzi nie będzie wewnątrz fabryki, to ktoś będzie kupował z zewnątrz.

— Kto? Chińczycy, Murzyni, Botokudzi, Malaje... Zresztą to nie moja sprawa. Od tego są komiwojażerowie.

Spojrzał na ręczny zegarek i dodał:

— Wytwarzać bez ludzi dla lu-

dzi, którzy mają za co kupować... Oto nasza dewiza.

Pożegnaliśmy go bardzo wytwornie i wyszli.

Kłebuszek toczył się szybko z opuszczoną wdół głową.

— Skręcamy tutaj! — wyrwał go z zadumy.

Weszliśmy szybko do nowozbudowanego gmachu jednego z ministerstw. Sale olbrzymie, widne, wysokie. Marmurowe schody, marmurowe ściany, marmurowe kolumny połyskiwały zimno — dumne z tego, że jeden ich metr kwadratowy kosztował więcej niż zredukowana pensja dwu rzędników. Rzuciłem okiem na tablicę ze spisem dygnitarzy i na chybił trafił, wymienilem pierwsze zauważone nazwisko.

— Pan radca Kikiewicz przyjmuje?

— Owszem. Pokój Nr. 22, poczekalnia na pierwszym piętrze.

Na dębowym stole poczekalni tkwiła olbrzymich rozmiarów szklana popielniczka a koło stołu foteliki. Wyjęliśmy papierosy i zapalili. Minęło pół godziny, godzina, półtora, dwie, dwie i pół, trzy, trzy i trzy czwarte. Pociągnęliśmy powoli wrastać w krzesła, a zniecierpliwienie potrazało na szemi nerwami, wżerało się w mózg, w uszy, oczy, serce, wątrobę, ślepą kisię i wszelkie sąsiadujące z nią narządy.

— Panowie pozwolą! — rzekł wkońcu woźny, wskazując ręką drzwi Nr. 22.

Toczyliśmy się na zdrtwiałych nogach jak pijani. W pokoju za olbrzymim blatem biurka siedział jakiś wyniśnięty płowem indywiduum, znużone może jeszcze bardziej niż my.

— Przepraszam pana radcę, że zabieramy mu drogi cenny czas. Oto jest pan Kłebuszek, człowiek który pragnąłby...

Powiewki pana radcy drgnęły, błada dłoń poruszyła się na stole.

— Poproszę o dowód osobisty, — przerwał.

— Nie wziąłem ze sobą.

Wyniki zbiórki na Dar Narodowy 3-go Maja

Komisja obliczeniowa Komitetu Zbiórki na Dar Narodowy 3 Maja ukończyła liczenie skarbonek (puszek) ze zbiórki przeprowadzonej w Warszawie w dniach od 3 do 10 maja b. r. Ogólna suma osiągnięta z tego źródła wynosi zł. 27.689.58. Zarząd Główny Polskiej Macierzy Szkolnej składa społeczeństwu stolicy najserdeczniejszą podziękę tak za tę ofiarność jak i za

powszechną życzliwość okazowaną Macierzy Szkolnej w dniach zbiórki na Dar Narodowy 3 Maja, przeznaczającej na oświatowe potrzeby Macierzy.

Przy tej sposobności Komitet zbiórki na Dar Narodowy zwraca się do osób, którym doręczono listy ofiar z prośbą o nadsyłanie tych list oraz zebranych sum pod adresem Komitetu (Krak. Przedm. 7 m. 4).

— A więc metrykę urodzenia, świadectwo szczenienia ospy, dojrzałości, moralności, niekaralności, książeczkę P. K. U. i Z. U. P. U.

— My tu w innej sprawie i dokumentów nie zabraliśmy.

Pan radca zaniemógł na chwilę ze zdumienia.

— Jakto? — wyrzekł wreszcie.

— Poproś...

— To przecież panów niema!... Bez papierów niema obywatela.

Ja tu zaraz każę wygotować akt zgonu, żeby było w porządku.

— O Jezu! — jęknął Kłebuszek i wpił mi się palcami w ramię.

— Panie radco, chwileczkę! Chcieliśmy się dowiedzieć, pociągnęliśmy?

— Pociągnęliśmy? — rzekł podatkowy, dochodowy, luksusowy, kryzysowy, dodatkowy, lokalowy...

W tej chwili przyjrzał nam się bacznie i rzucił:

— A kwitki panowie macie?

— Mamy! — wydobyłem drżącymi rękami kwitki z portfela, i pokazałem panu radcy.

— Przynajmniej pod tym względem jesteście panowie w porządku. Państwo demokratyczno-liberalne wymaga tylko regularnej opłaty podatków. Po za tem pozostawia obywatelom wolność.

Zupełną wolność. Mogą panowie żyć, jeśli mają z czego. Mogą panowie mieszkać, jeśli mają gdzie.

Mogą panowie jechać, jeśli mają dokąd. Mogą panowie nawet pracować, jeśli znajdą pracę. Ale w to nie wierzę... Państwo się do tego zresztą nie mieszają.

— Dziękujemy bardzo.

— Żegnam.

— Na ulicy Kłebuszek przystanął.

— Tyle wolności!... Psia krew, czy to nie za dużo?

— Pewno, pewno... Ale może wstąpimy gdzie na pół czarnej.

— Można.

Siedliśmy w kawiarni blisko wielkiej szyby i patrzyliśmy na ulicę. Nieprzerwanym sznurem posuwały się w jedną i drugą stronę stwory, niepotrzebne dla pana prezesa i niewarte zainteresowań pana radcy.

Po chwili Kłebuszek pociągnął mnie za rękaw.

— Panie! — rzekł — Tak myślę, że dziś na tym świecie coś nie sztytuje.

— No?

— Przecież dawniej ustrój służył człowiekowi, a dziś najchętniej obszedłby się bez człowieka.

— Właśnie, właśnie. Ale na szczęście już się to powoli zmienia, bo demo-liberalizm zamiera.

— To chyba wypada mu życzyć lekkiego zgonu?

— Zapewne...

Jan Waśniewski

Z teatrów

Nieusprawiedliwiona godzina

Komedja w 5-ciu aktach Stefana Bekeffi

w Teatrze Letnim

Z temi nowymi sztukami teatralnymi dzieje się nieco podobnie, jak u nas w Warszawie na ulicy Żabiej, albo Miodowej. Idziesz Żabią — same sklepy z kapelusami, na Miodowej — futra i palta. Jeden handel obok drugiego szeregami.

W teatrze, oczywiście na mniejszą skalę, można zaobserwować takie same zjawisko. Wystarczy, że ktoś napisze sztukę do pewnego stopnia nową, wprowadzającą w świeże środowisko, zaraz sygnalizuje utwory, podejmujące podobny temat. Zaczynają się niezliczone warjacje, silenie się na pomysłowość, w rezultacie otrzymujemy sztuki coraz słabsze, węższe, spełniające w najlepszym razie rolę przelotnej, blachej rozrywki.

Takie mniej więcej są dzieje tematu szkolnego. Zaczęło się od „Dziwcząt w mundurkach“, po tem poszła o wiele już słabsza „Matura“, teraz mamy nową „oryginalną“ wersję — „Nieusprawiedliwiona godzina“.

Jest to komedja, nad którą lepiej się nie zastanawiać. Pełno w niej naiwności, bezsensownych psychologicznych i jeśli wszystko trzymać się jakoś kupy, a chwilami nawet bawi — zasługuje na przedewszystkiem bardzo dobrej reżyserji Janusza Warneckiego i doskonałej gry całego zespołu. Przedstawienie wolne jest na szczęście tym razem od dłużyzn, będących plagą naszych teatrów. Ani śladu celebrowania, dużo życia i humoru.

Sama historyjka jest taka: pewna dziewczę z siódmej klasy wychodzi za mąż za doktora medycyny, poważnego profesora uniwersytetu. Pomimo dużej różnicy wieku (profesor ma 38 lat), małżeństwo jest bardzo szczęśliwe. I wszystko byłoby ułożone się jak najlepiej, gdyby młoda mężateczka nie zatęskniła... do szkoły. Lili, nie wiedząc co zrobić z wolnym czasem, postanawia w tajemnicy przed mężem zapisać się do gimnazjum i zdać maturę. Wynika z tego oczywiście cały szereg komplikacji. W szkole Lili jest najgorzej uczennicą, ponieważ życie towarzyskie, jakie w godzinach popołudniowych prowadzi „pani profesorowa“, nie pozwala jej przygotować zadanych materiałów. W domu dzieje się jeszcze gorzej:

Ulgi dla Prenumeratorów

ABC — Nowin Codziennych

Wydawnictwo nasze, pragnąc zapewnić P. T. Prenumeratorom ciągłość w odbiorze „ABC-Nowin Codziennych“ w okresie wypoczynkowym, postanowiło przeprowadzić zmianę adresu bezpłatnie w czasie od 15 maja do 1 września b. r.

Przy zgłaszaniu zmian, należy podać dokładny adres poprzedni. ADMINISTRACJA

Z plastyki

Szyld i sklep

Uwagę czytelników ABC nie uszedł zapewne artykuł, w sprawie szyldów i reklam sklepowych, zamieszczony niedawno w naszym piśmie. Artykuł głosił, iż ten rodzaj reklamy kupieckiej, podległy opodatkowaniu, uzyska, u ściągających te podatki władz, daleko idące zniżki, o ile będzie wykonany w formie możliwie artystycznej. Paskudne zajęcie, jak wiadomo, niestety dość charakterystyczne dla Warszawy, zaścianek swym nieestetycznym wyglądem wiele ruchliwych dzielnic miasta. Władze, zdając sobie sprawę z tej bolączki, bardzo wyważnym argumentem pragną zachęcić kupców do podniesienia poziomu wartości estetycznych ulicy. Brawo!

Ponieważ wchodzi tu w grę zagadnienia artystyczne, mamy zupełnie prawo zająć się tą kwestją w naszym odcinku, poświęconym plastyce. Brzydki szyld blaszany jest właściwie parodią i wynaturzeniem dawnej pięknej wywieszki. Ale wywieszka istniała w czasach, gdy kupiec nie posługiwał się witryną sklepową i nie przyciągał uwagi przechodnia jej zawartością, oraz sposobem urządzania.

Zaczniemy od najprymitywniejszych form szyldu, by następnie, omawiając różnorodne formy zadzierzgnięcia kontaktu między klientem i kupcem, ustalić najbardziej racjonalne i artystyczne sposoby zaakcentowania sklepu w całości ulicy. Na Nalewkach i w dzielnicach żydowskiej spotykamy b. często pionowe szyldy blaszane, na których, oprócz nazwiska właściciela sklepu, lub składu, widnieje nazwa sprzedawanego towaru, oraz jego plastyczne wyobrażenie. Napis: „tu się sprzedaje pierze i puch“, wraz z wytworną podobizną gęsi niedużo znaczenie daje do zrozumienia, że w sklepie tego kupca próżnoby szukać cyrkonu.

Nie rozgrzeszając wcale podobnych szyldów z wykroczem przeciwko estetyce, znajdujemy natomiast pewne usprawiedliwienie dla ich rodzaju. Gdy sklep znajduje się w podwórzu i kupiec nie rozporządza najmniejszym bodaj oknem od ulicy (w którym mógłby umieścić próbki swego towaru) nie dziwne, że pisze na szyldzie, co ma na sprzedaż. Wyobrażenie malarskie towaru czyni zrozumiałą treść napisu nawet dla analfabetów. Co robić z takim fantem, paskudnym artystycznie, ale posiadającym pewne u-

zasadnienie logiczne?

Zle malowanego szyldu nie należy zamieniać na lepszy, ani nawet najlepiej malowany. Wydaje mi się, że w takich wypadkach byłby celowy nawrót do wywieszek, oczywiście odpowiednio zmodernizowanych. Pewien symbol — znak w takiej wywieszce, raz na zawsze ustalony, objaśniałby o jaki rodzaj towaru tu chodzi. Oczywiście, gdy w oknie sklepu leżą bułki, niema najmniejszego sensu, także pozaartystycznego, malowanie podobnych bułek na szyldzie, nad sklepem. Podobny błąd jeszcze dziś popełniają duże nawet sklepy. W okolicach Miodowej i placu Krasińskich istnieje sporo firm, sprzedających futra. Wszystkie te sklepy posiadają okna wystawowe nierzadko dość duże. Jednak chociaż w tych oknach każdy widzi futra, jakże często, obok okien, oglądamy, malowane na blachach, tygrysy! Czyżby malowany tygrys miał świadczyć niebezpieczeństwo, że pokazane za witryną, wyroby futrzane sporządzone z równie dzikich, jak on bestyi, a nie królików? Mamy wszelkie podstawy do obaw, że malowany świadek będzie nadzbyt dyskretny i nie zabierze głosu w tej materji.

Dalej w stronę śródmieścia obrazki na szyldach znikają; pozostaje nazwisko właściciela firmy, dawniej przeważnie malowane, dziś częściej skonstruowane z wypukłych, plastycznych liter, umocowanych bezpośrednio na

murze, nad frontem sklepu. Jeszcze doniedawna każdy kupiec wybierał litery jawniejsze, usiłując dać napis nad sklepem możliwie duży. Każdy chciał się wyodrębnić, zwrócić uwagę przechodnia przedewszystkiem na siebie. Nie byłoby w tem nic trudnego, gdyby takich samych zamiarów nie miał sąsiad. Gdy wszyscy krzyczą, nikogo nie można zrozumieć; w ogólnej pstrokaciznie oddzielne pozycje giną niezauważone.

Podobnie, w tłoku innych ogłoszeń, gubi się ogłoszenie w gazecie. Żeby tego uniknąć, mądry kupiec nie zajmuje tekstem reklamy całego miejsca, które wykupił. Biała plama niezadrukowanego papieru, przy takim ogłoszeniu, od razu zwraca uwagę, gdyż wyodrębniła się na ogólnym szarém tle druku.

Również i nazwisko kupca nad sklepem, gdy mieści się w napisie niewielkiego formatu i ma wokół puste i gładkie płaszczyzny widoczniejszą się lepiej, niż inne, które biegnie przez całą szerokość frontu i dochodzi aż do szyldu sąsiedniego. Wogóle zaś, jeśli chodzi o nazwisko, lub nazwę firmy — bo taką jest treść szyldów w śródmieściu — kupcy przeceniają jego znaczenie. Nazwisko w wielu wypadkach nie ma takiej wagi reklamowej, jaką mu przypisują. Nic ono nie mówi temu, kto w danym sklepie nie jeszcze nie kupił i o nim nie słyszał. Kto zaś stał się już klientem i zado-

wolony z nabytków, dokonanych w jakiejś firmie, wraca do niej razporaz, nie potrzebuje wielkiego szyldu na wabia, wystarcza mu nawet skromna tabliczka, bo w tym wypadku chodzi tylko o stwierdzenie, iż wszedł do tego samego sklepu. Jeśli chodzi o efekt nazwiska, to jego siła atrakcyjna (a więc przyciągająca) jest żadna.

Idąc ulicą, na poziomie oczu mamy witrynę sklepową (szyld jest w górze). Toteż pomysły rozwiązywania architektonicznie frontu sklepu, ciekawie pomyślana wystawa sklepowa, przedewszystkiem oddziaływała na przechodnia i one to właśnie kryją w sobie wielkie możliwości reklamowe, osiągnięte przy pomocy efektów plastycznych. Zainteresowania współczesnych artystów, zajmujących się urządzeniem i dekoracją sklepów, idą w tym kierunku. Znam w Warszawie kilka sklepów, przed którymi gromadziły się gromady ludzi, zaraz po ich otwarciu, dlatego tylko, że w urządzaniu witryny zerwały one z szablonem wielkiej szyby lustrzanej, od góry do dołu.

Działanie estetyczne dobrze pomyślanego wejścia do sklepu jest trwałe, natomiast jego siła atrakcyjna czasem słabnie, gdyż ludzie wkońcu do wszystkich sklepów przyszwyczają. Środkiem, który podsyca nasze zainteresowanie są wystawy sklepowe. Ludzie nie dlatego zatrzymują się przed witrynami, że w górze nad nimi

maż, widząc, że żona spędza wiele godzin poza domem i nie może się z nich „usprawiedliwić“, podejrzewa ją o zdradę. W ostatnim akcie Lili grozi z jednej strony wydalenie ze szkoły, a z drugiej — rozwód. Oczywiście wszystko się wyjaśnia. Lili, spodziewając się dziecka, rezygnuje z kariery szkolnej.

Najlepszy z całej komedji jest akt III, pokazujący lekcję w ósmiej klasie. Najwięcej w nim humoru i dobrych pomysłów. Najślabsze są dwa akty ostatnie, zupełnie puszczane i niedostatecznie wykorzystujące komizm sytuacji.

Panią „profesorową“ była Zofia Lindorówna, wkładając w tę rolę dużo wdzięku i świeżości. Bardzo na miejscu znalazł się Antoni Różycki, jako mąż. Młodzieńka artystka, Hanna Brzezińska, pokazała pierwszorzędny talent charakterystyczny. Szkołę na wesoło zaludnili pp.: Bukojemski, Botler-Jarnińska, Żabczyńska Dereń i doskonały w roli gospodarza klasowego Orwid. Pozostałe role miały dobrych wykonawców w osobach: Daszyńskiej, Munclingerowej, Norkiego i Rygiera. Poprawne dekoracje Jarockiego.

Jerzy Andrzejewski

SOLEC-ZDRÓJ

FOLSKIE PISZCZANY

W CYRULIKU WARSZAWSKIM WESOŁO

Świeżo wystawiona komedja muzyczna „Kot w worku“ zapelnia codziennie widownię Cyrulika Warszawskiego do ostatniego miejsca. Żywa akcja, ciekawa treść, śliczne wpadające w ucho piosenki, dużo dowcipu i humoru oraz dobre wykonanie sprawiają, że publiczność bawi się doskonale, co chwila wybuchając kaskadami śmiechu.

Dobrze zrobił Cyrulik Warszawski, że w okresie letnim wystawił tę lekką komedję, która zaspakaja gustu najwybredniejszej publiczności. „Kot w worku“ cieszy się i pewnością cieszyć się będzie długotrwałym powodzeniem.

Dla wygody publiczności Cyrulik Warszawski wprowadził w okresie letnim tylko jedno przedstawienie dziennie. Początek o godz. 8 wieczorem.

widnie napis: „Brun, Wedel. Spiess i t. d... tylko dlatego, żeby obierzeć wystawę, jeśli jest ciekawa. Chociaż nasi kupcy zbyt często jeszcze prześladują okna wystawowe, zrozumienie znaczenia reklamowego, dobrze urządzonej wystawy, jest coraz większe i coraz częstsze także wypadki zwracania się o pomoc, w tym zakresie, do artystów.

Osobną kategorię reklamy stanowią neony. Wszystko to, co powiedziałem o napisach, malowanych na blasze, lub wykonanych plastycznie, w postaci wypukłych liter, nie dotyczy neonów. Napis neonowy, dzięki swej świetlistości, dzięki temu, że jarzy się i drga, na ciemnym tle nocy, ma w sobie jakąś siłę przyciągającą, jak zawsze ją będzie miało dla człowieka światło i żywioł ognia. Uwagi, przemieennie tutaj skreślone, nie zawierają nic, czegoby nie wiedzieli artyści, nie o nich jednak myślałem w tym wypadku. Natomiast, jeśli jakiś kupiec uznaje słuszność tych uwag i zdecydowanie z nad swego sklepu brzydki szyld, mam nadzieję iż urząd skarbowy w nagrodę zmniejszy podatek, nietylko jemu, ale i mnie, jako doradcy. Ze swej strony muszę dodać, iż władze w swym służebnym zamierzeniu powinny pójść jeszcze dalej i zniżyć podatek nietylko za estetyczny, a podlegający opodatkowaniu, szyld, ale i wtenczas, gdy całość zewnętrznej strony sklepu przedstawia się estetycznie. Wiktor Podolski